



## Hanna Zawistowska-Nowińska

## część II z II

Sygnatura notacji: **N0647**

Data urodzenia: **22.10.1923r.**

Data nagrania: **26.11.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Kraków, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 65 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Taka jestem przerażona, że nie wiem. Nogi mi się trzęsą, idę tam. Zaczyna mnie pytać, pytać, pytać, pytać, jakoś sobie radzę. W pewnym momencie on przerywa i mówi: „No, pani wyglądała bardzo ciekawie. I wydawało mi się, że będzie pięć, ale będzie cztery”. O Boże, to dobrze, już mi tam nie trzeba nic. [śmiech] Najważniejsze, że zdałam. Idzie ze mną do Zaorskiego i mówi, że można tą panią przyjąć. Myśmy mieli bardzo wysoki poziom tej nauki pielęgniarstwa w Warszawie w tej szkole pielęgniarek, rzeczywiście był wysoki. Więc przyjęli mnie do tej szkoły. Zaczęłam chodzić do tego Zaorskiego. Już z pielęgniarstwem skończyłam. Ale to było straszne, bo co przejadę, to patrzę, wisi afisz. I na tym afiszu nazwiska moich kolegów. Niemcy tak się zachowywali bezczelnie, że robili rozstrzeliwania w ten sposób, że ogłaszali, że będzie spotkanie, ludzie się zbierali, oni przywozili ludzi w workach jakichś takich z tektury czy z papieru, zakneblowane usta, stawiali pod mur. I tratata-tatata. I zostawiali. A potem wieszali piękny afisz. Taki to i taki zginął, taki to i taki... I potem człowiek idzie przez ulicę i patrzy, a tam przecież mój znajomy, a tam kolega ze szkoły. Wie Pan, to jest takie straszne. Nie zawsze człowiek widział te rozstrzeliwania, ale wystarczyło, że wisi ten awisz. To było okropne. A łapanki, podjeżdża taka buda, jak myśmy to nazywali, taki wóz otwarty. Staje i ściągają ludzi, ciach, ciach, ciach, do wozu, do wozu, do wozu. Jak śmieci wrzucają i potem bus odjeżdża. I koniec. Zadowoleni. Wie Pan, to było na porządku dziennym. Można było się tego spodziewać. Okropne. Jurek, jak tych chłopaków puścił, to sam poszedł na Czerniakowie do ciotki, do siostry mojej mamy, bo to noc była i nie chciał już jechać przez całą Warszawę. I poprosił, żeby ciotka go przenocowała. „A gdzieś ty był o tej porze? Przecież godzina policyjna”. „A byłem u dziewczyny”. To ciotka za telefon: „Leosiu, czy ty wiesz, co twój syn wyprawia? O godzinie 12 do dziewcząt chodzi”. A mama mówi: „Marysiu, przenocuj go. Jak on wróci, to ja mu uszu natrę. Nie martw się”. Bo już mama się domyśliła, o co chodzi. A ciotka jakoś nie chwyciła

tego. Jurek przyjechał i mówi: „Hanka, tak mi się to nie podoba. Taka to cywilna robota”. Strasznie był zdenerwowany, że jak można ogłaszać Powstanie i potem go nie ogłaszać. Ale gdzie było dowództwo, a gdzie my szarzy ludzie, to było co innego. W każdym razie tak było. To było bardzo przykre. Mama mówi: „Jureczku, to ty jedź teraz do Buchholców i przywieź ziemniaki i jakieś jarzyny, bo jak ma być Powstanie, to trzeba się zaopatrzyć, bo możemy tutaj mieć głód w Warszawie”. On mówi: „To już nie czas, mam, już teraz to nie ma czasu na to, bo tu lada moment będzie znowu ogłoszenie”. „Może zdążysz”. Jurek rad nierad słucha się matki, ale był zły bardzo. I wybiegł, wziął jakiś worek, wybiegł z domu. Ja patrzę przez okno, że on wraca. Wrócił i mówi: „Daj mi ten stary portfel taty z wojny. My się już nigdy nie zobaczymy”. „Co ty pleciesz?” „Nigdy się, Haniu, nie zobaczymy”. Ja polecałam po ten portfel, bo taki był stary portfel, który ojcu dała babcia jeszcze z tamtej wojny. Jeszcze z takim obrazkiem Matki Boskiej. Więc Jurek chciał koniecznie to mieć ze sobą. Ale tak to przeżyłam, że on powiedział, że się już nigdy nie zobaczymy. I on pojechał. I już potem go więcej nie zobaczyłam. Po Powstaniu dowiedziałam się, że tam do ciotki pojechał. Wziął te ziemniaki i dowiedział się, akurat ktoś ogłosił, że ostatnia kolejka WKD jedzie do Warszawy. Więc Jurek pędem z tym workiem na plecach pognął do tej, a kolejka już ruszyła. I on wskoczył w biegu. I opowiadała mi właśnie ta dziewczyna, która to widziała. Mówi: „W pewnym momencie ja widzę, jak on wskoczył do tego wagonu. Ten pęd go tak popchnął do tyłu, że wydawało mi się, że on razem z tym workiem poleciał na ziemię, ale ktoś go tam przytrzymał i schował”. I on pojechał do tej Warszawy, ale już w Warszawie niestety nie mógł dostać się do swojego zgrupowania, bo na Czerniaków nie było przejścia wtedy, Niemcy to zajęli. I on na Świętokrzyskiej został złapany przez takich chłopców naszych, wojaków, powstańców młodych, ale się im nie tłumaczył. Oni byli przekonani, że złapali jakiegoś Niemca albo jakiegoś szpiega. I tacy dumni idą, go prowadzą, a on idzie z nimi i nic nie mówi. Do dowództwa, a ktoś tam z dowództwa mówi: „To potrzyście go tutaj, niech on tu będzie, bo my mamy tam jakieś zebranie”. Jurek usiadł i tak patrzy. I widzi Zbyszka Piaseckiego, takiego chłopca z Ostroga, syna podchorążego. I mówi: „Ty jesteś Zbyszek? Syn podchorążego?”. A Zbyszek mówi: „Jurek Zawistowski”, taki zadowolony. Wita się z nim, a za chwilę drugi chłopak: „A ty jesteś Zandrowicz?”. „Tak”. To znowu. I już radość wielka, nie żaden wróg, tylko ktoś. A Zbyszek to jest ten, co na tych karteczkach.

### **Artur Kłus: Tak, „Czekolada” [Zbigniew Piasecki].**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** „Czekolada”, tak. Dużo młodszy od Jurka, on miał wtedy 16 lat, a Jurek miał 24. Jurek tam już z nimi został, za „Czekoladę” właśnie tam, wlaź tam gdzieś na te góry, gdzieś tam na jakichś workach i mieli tam stamtąd strzelać. Ale od głuchoniemych jakiś ktoś wyżej znajdujący się strzelił do Jurka.

### **Artur Kłus: A Pani jak pamięta wybuch Powstania?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** A ja jak wybuch Powstania, jak Powstanie wybuchło, to ja zdecydowałam pójść się zgłosić. I zgłosiłam się do dowództwa na Starym Mieście. Mieściło się to w Kamienicy Księżąt Mazowieckich, więc vis-à-vis naszego domu. Bo myśmy mieszkali pod 18, a to po przeciwnej stronie rynku. Poszłam tam, zgłosiłam się, przysięgę trzeba było złożyć. Na razie nie było żadnego szpitala, nic tam, ale powiedzieli, że mamy biec na Powiśle, nad Wisłą, tam są już leżący pacjenci. Wobec tego zbiegłyśmy, tam jeszcze druga koleżanka była, która też składała przysięgę, bo mnie do Służby Zdrowia zapisali. Pobiegłyśmy po tych kamiennych schodkach na dół, nad

Wisłę, i tam rannych chłopców. Ale jak ich dźwigać na tych noszach, które były zresztą takie dosyć prymitywne, bez żadnych pasów, po schodach, to było okropne. Tak że ledwośmy tych chłopaków tu zaniósł w górę. Potem trzeba było między kamienicami przez piwnicę przejść najpierw na róg, tam przy Kamiennych Schodkach była lecznica, więc najpierw do tej lecznicy, żeby lekarz sprawdził coś, co tam można zrobić z nimi, a potem już jak profesor Radlińska tam zrobiła jakiś zabieg operacyjny czy coś takiego, to wtedy zabieraliśmy tych chłopaków na Mazowiecką, do tego budynku Księżąt Mazowieckich, ale dowództwo było na parterze, a szpital zrobili na pierwszym piętrze. Bez sensu. Tak wysoko nie może być. Zaczęły szyby lecieć, chłopcy przecież nie mogli zginąć od szyb, bo to jeszcze było nieraz gorsze jak jakaś inna kontuzja. Więc zdecydowaliśmy, że trzeba będzie na Freta przebiec się do dominikanów. Ale okazało się, że u dominikanów też nie może być, bo cały kościół dominikanów był zapchany ludźmi. Tak, że jeden obok drugiego stał. Nie to, żeby leżał albo... stali, jeden obok drugiego ciasno. Ludzie pouciekali ze swoich domów, bo nie chcieli w piwnicach siedzieć. Więc co tu zrobić? Więc tam dominikanie dali nam taki domek. Oni mieli taką chałupę, w której prawdopodobnie przechowywali jakieś towary czy jakiś ten... Więc to nam dali. To taki parterowy budynek, nieduży. Chłopców tam położyliśmy. Chłopcy rzeczywiście z gipsami, ze wszystkim świetnie sobie poradzi. Nieśli te łózka, bardzo nam pomagali. I przenieśliśmy to wszystko ze Starego Miasta, z rynku, na Freta. Jak już to wszystko poustawialiśmy, wszystko ślicznie stoi, ja zaczynam układać lekarstwa. A w tym momencie jak nie rąbnie jakiś pocisk straszny. I akurat koło szafki był taki piecyk. I w ten piecyk. Dym, kurz, coś straszego. Ja byłam cała zasypana tym prochem. Kolega, który mi pomagał, tak samo. Chłopaki się zaczęły śmiać i przez okno myk, myk. Czy miał gips, czy nie miał gipsu, wyskakiwał tak jak skoczek wspaniały. I położyli się na trawie i ha, ha, ha, śmiali się z nas, jak my wyglądamy. Bo ja w białym fartuchu i cała czarna. I ten kolega też. Więc też niedobrze, też nie może być tutaj. Co tu zrobić? Tam dowiedzieliśmy się, że są jeszcze piwnice. I trzeba było tam trochę podyskutować, żeby ludzie, którzy się zajmowali znowu zaopatrzeniem, żeby to zabrali, opróżnili te piwnice i tam zanieśliśmy chłopców. Ale piwnice były piwnicami, bez okien, bez niczego, takie wejście tylko, takie jak do nory. Na podłodze się położyło koce i te sienniki, tam chłopcy na tym leżeli, ale nie było żadnego światła ani nic. Okazało się, że straciliśmy łączność z dowództwem i z kuchnią. Jak tak parę dni poleżeli, to zaczęły się rany otwierać, ropieć. Bo w tym dymie takim, wilgoć, coś okropnego, myśmy wymyśliły, że pójdziemy poszukać, może gdzieś ktoś nam coś da. Zabrałyśmy 2 wiaderka i poszłyśmy w świat. Wylądowałyśmy na Świętojerskiej. Ja coś poczułam, jakiś zapach. Mówię: „Wiesz co, chyba się jakiś krupnik gotuje czy coś, musimy tam zajrzeć”. Zaglądamy, a tam w biały dzień, normalnie, jakby się nic nie działo, na kuchni takiej staroświeckiej stoi ogromny kocioł taki, dawniej to u mojej mamy to się bieliznę gotowało w takim kotle. I tam gospościa taką kopyścią miesza. Jakaś zupa się gotuje. Jakiś porucznik się nawinął. Ja pytam, czy mogliby nam dać. On mówi: „Dobrze, zaraz wam dam”. A w tym momencie wchodzi łączniczki, cała grupa dziewcząt, po jakiejś walce wracają zmęczone i mówią: „Co ty, do jasnej ciasnej”. Jednym słowem, krzyczą strasznie na niego. „Ty tu rozdajesz, my tu nosem...A wy co?”. „A my nic nie mamy dostać?”. Mowy nie ma, absolutnie”. To on już cicho sza, mówi: „Ja wam dam papierosy i wino”. „Dobrze, niech będzie i to”. Takie wielkie pudło papierosów nam dał i wino. Takie sikoń, jak to mówili brzydko Polacy wtedy. Myśmy to wzięły, te 2 wiaderka tego, przynieśliśmy chłopcom. Jak oni zaczęli palić wszyscy, to się zrobiło szaro, buro, już nic nie było widać prawie. Jeszcze jak się napili tego, po troszkę, ale trochę, to oni się zaczęli wygłupiać. Żaden z nich nie może wstać, tylko siedzi i ha ha. I hahają, i hahają. Baśka mówi: „Słuchaj, oni są pijani”. Ja mówię: „No widzę, że są pijani, ale co ja mam zrobić? Nic nie poradzę. Dobrze, że chociaż to mają. Jak nic nie mieli”. Musimy iść jeszcze raz, coś poszukamy. Ten powiedział nam, że za 2 godziny mamy przyjść, że może będzie miał. Więc poszłyśmy za te 2 godziny. Dał nam, już nie było tych pań, one się gdzieś

już ulotniły. On nam dał 2 wiaderka tego krupniku. Jak chłopcom dałam ten krupnik, to oni z miejsca zasnęli. Jak małe dzieci dosłownie, jeszcze dobrze nie przełknął, już spał. To byłśmy szczęśliwe. Naprawdę, to było szczęście. [śmiech] Takie to było przyjemne.

### **Artur Kłus: Udało się z tej piwnicy wydostać? Później się udało z tej piwnicy wydostać? Że wyszliście z tej piwnicy z tymirannymi?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Nie, ja tego już nie przeżywałam. Dlatego że w międzyczasie na Kilińskiego go rąbnął ten czołg szalony. Zrobiło się strasznie, bo masa ludzi poginęła, wezwali mnie, że mam się tam zgłosić na Kilińskiego. A tu koleżanka ma zostać jedna i wystarczy, że chłopcy będą mieli jedną osobę. Ja tam przyszedłam, Matko święta, to przecież po ulicy nie można było iść, leżały trupy. I to jakie? Porozkawałkowane. Tu ręka, tu noga, tu kawałek głowy. Wiecie, to się nie da opisać, jak to wyglądało. Na ścianach wisały gdzieś tam, na oknach, makabryczne. Jak ten czołg wjechał, to ludność była tak szczęśliwa, że takie bohaterskie sprawy się dzieją, że przecież to wielka rzecz. Myśleli, że zdobyty jest czołg. Ludzie z piwnic powychodzili, kobiety z małymi dziećmi na ręku wyszły. A tu to rąbnęło i ilu ludzi zginęło. Coś straszego. Dopiero była rozpacz. Mnie skierowali na Izbę Przyjęć. Trzeba było znowu podzielić się pracą, bo jedni musieli wykopać, najpierw wykopać z chodnika te płyty, zrobić tam część taką na cmentarz, pokopać dziury i tam pochować tych ludzi. Ale jedni się tym zajmowali, inni musieli segregować. Może jednak coś do tej osoby należy, może do tej głowy ta ręka czy ten tułów. A ja szukałam żywych. A potem jak się dało, to do szpitala. To było coś straszego. Tego się nie da opisać. Naprawdę. To zostanie mi na całe życie. To było przerażające. Poszłam na... wezwali mnie na izbę przyjęć. To była izba przyjęć na Długiej. To było w tym Pałacu Raczyńskich, pod 7, na parterze. I raptem wbiegło coś 6 osób poparzonych. Ale jak strasznie. W ogóle ubrań nie mieli już wcale. Skóra jakaś taka szara, bura, taka pomarszczona, straszne. Mówić nie mogą, bo mają też drogi oddechowe poparzone. Coś okropnego, ja tylko mówię, czy nie ma gdzieś jakiejś morfiny, czy coś, żeby im chociaż ulżyć, bo przecież to jest coś potwornego. I oni tak umierali. Nie no, to strasznie. Przede wszystkim nawet nie bardzo mogli iść, to tak na czworakach, bo wszystko bolało. To było okropne. Za chwilę przynieśli na drzwiach, bo nie mieli widocznie noszy, na drzwiach takiego gościa, chłop wielki, ja nie wiem, on chyba ze 100 kg ważył, ogromny i taki mocno zbudowany, leżał na brzuchu, a w pośladku miał taki wielki kamień. Ten odłamek wbił mu się w pośladek, ogromny taki. Więc ja zaczęłam to jakoś tam podważać, udało mi się zabrać. Patrzę, że to nawet nie będzie taka duża rana, więc to zaszłam. On mówi: „O, mogę chodzić”. Stanął, bo zachwycony, bo już go to nie boli. „Chłopaki, idziemy”. Nawet nie powiedział „dziękuję”, tylko polecał. I już poleciał dalej, z powrotem. To przecież było przedziwne. Potem znowu rąbnął jakiś pocisk. Wszystkie worki, jakie były w oknie, bo tam było okno, wyleciały i te kraty też jakieś. Lekarz i farmaceuta, który ze mną razem pracował, buch pod biurko. A ja stałam i zaczęłam się strasznie głupio śmiać, bo mi tak śmiesznie się to zrobiło. Ci starsi panowie takie tyłki do mnie wystawili, bo schowali się tam. I mnie to tak rozśmieszyło, że zaczęłam się śmiać. A doktor: „Chowaj głowę”. [śmiech] Już nic nie mogłam powiedzieć, tylko się musiałam wstydzić, że jestem taka głupia. [śmiech] Ale człowiek młody zupełnie inaczej patrzy niż jak człowiek dorosły, który ma trochę rozumu, bo przecież chowaj głowę, po co masz się dać zabić, prawda? Mnie to do głowy nie przyszło, żeby się chować. Po prostu mnie się śmiać chciało. Niestety dzieci inaczej przyjmują, dorośli inaczej, młodzież jeszcze inaczej. Więc taki głupek ze mnie był. [śmiech]

## **Artur Kłus: A jak przy tym wszystkim Pani wspomina taką ludność cywilną, matki, dzieci? Jak to wyglądało?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Proszę Pana, doktor parę razy biegał do piwnicy, bo rodziła jakaś kobieta. Różnie ludzie robili. Jedni chodzili i chcieli pomagać, inni się chowali. A jak myśmy nieśli na przykład przez piwnicę pacjenta, to niektórzy się usuwali, a niektórzy uważali, że co my im przeszkadzamy. A gość wcale nie należał do tej piwnicy, bo przypadkiem, prawda, trafił w tym miejscu i nie było co robić, tylko trzeba się schować. Schował się w piwnicy, a zmęczony położył się. A tu mu ktoś nie daje położyć się. Więc on swoje, a ja swoje. [śmiej] Różnie było. Nie, ale trzeba powiedzieć, że młodzież była przejęta szalenie. Szalenie. Miałam takiego pacjenta, który przyszedł właśnie z tym chorym łokciem, bo jakieś dokumenty wiozł z Żoliborza na Stare Miasto, widocznie do naszych władz, Ale ubrany był w niemiecki strój, włożył niemiecki. Chłopak, który się dorwał broni, zobaczył go z daleka. No to Niemiec. I strzelił. Całe szczęście, że tylko łokieć, nie zabił człowieka. Doktor Radlińska jakoś tam mu ten łokieć ratowała. Ale pamiętam, że po wojnie jeszcze się odzywał, dawał mi znać, bo mieszkał gdzieś tam pod Warszawą, że zaczyna ruszać ręką lepiej. Ale Polak Polaka. Młody chłopak, złapał broń i wobec tego strzelał. Widział, że po niemieckim stroju, to myślał, że to Niemiec. Ale chłopcy się przecież ubierali w niemieckie stroje.

## **Artur Kłus: I później już Pani na tej Długiej została?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Ja byłam na tej Długiej. I jak Powstanie się kończyło na Starym Mieście z końcem sierpnia.

## **Artur Kłus: Z końcem września?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Nie, na Starym Mieście w sierpniu. To władze chłopców przenosiły kanałami do Śródmieścia. Ale ja powiedziałam, że przecież nie zostawię tych rannych. No jak to? Ktoś się musi zająć tymi rannymi. I zapytałam dowódcę, czy mogę pójść na Stare Miasto po mamę, żeby mi pomogła. Bo tych rannych było sporo i praca jest. Więc lepiej, jak będzie więcej osób niż jak jedna. On się zgodził, ja poszłam do mamy, a tymczasem nasz dom się palił. I mama mówi: „Idź do piwnicy, połóż się, ja muszę teraz pomagać tu przy ratowaniu. I przyjdę do ciebie”. Ja się położyłam i zasnęłam, nie wiem, czy długo spałam, ale chyba niedługo. Za chwilę przyszła mama i przyszedł kolega, który stał na Rogu, przy Kamiennych Schodkach. I mówi: „Koleżanko, legitymację spalić, zdejmujemy opaski, bo Niemcy są już na rynku”. Po rynku się nie chodziło, to tylko właśnie Niemcy mogli wejść. Niemcy weszli już na rynek i rzeczywiście za chwilę wchodzi i rewidują. Wchodzi tak samo jak Ruscy tam na Wołyniu. Wszystko sprawdzają, co jest co. Ludziom zabierają pierścionki, kolczyki, co tam tylko, zegarek. Co ich tam interesuje, wszystko zabierają. A druga grupa idzie i niesie takie kanistry benzyny. Aha, to już wiem, że oni nie będą walczyć, tylko będą palić. Bo przecież to jest lepiej, wygodniej palić, niż walczyć. Ustawiają nas w grupy. I maszerujemy z rynku na Plac Zamkowy, z Placu Zamkowego na Mariensztat, z Mariensztatu znowu z powrotem w górę i do Wolskiej ulicy. I idziemy na Wolę. Dokąd nas prowadzą, nie wiemy. Gdzieś tam na Woli jest kościół, zabierają mężczyzn. Zostają same kobiety. My jesteśmy przerażone, nie wiemy, o co chodzi. Potem się dowiedziałyśmy dopiero, że chodziło o to, że tam takie zwalły były gruzu, że nie mogły nawet czołgi przejechać. Niemcy musieli sobie zrobić drogę. Wobec tego

wzięli mężczyzn, żeby to zrobili. Ale myśmy nie wiedziały o tym. A nas wsadzili na Dworcu Zachodnim do pociągu i pojechaliśmy do Pruszkowa.

### **Artur Kłus: A w tej drodze ze Starówki, jak ta droga wyglądała? Byliście zaczepiani?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Straszne było. Straszne było. Wyskakiwali ci Ruscy, których wzięli Niemcy do pomocy, i porywali kobiety. Podobno tam gwałcili, mordowali w bramach gdzieś. Mama moja przerażona wrzuciła na mnie kocyk. Każdy jak wychodził z tej piwnicy, coś tam brał, ten poduszkę, ten kocyk. Mama wzięła kocyk i ten kocyk na mnie włożyła, żeby mnie nie było widać dobrze. Ale okazuje się, że w tym zamieszaniu babcia, która miała parasol jak laskę taki wysoki, na palcu miała takie 2 szerokie obrączki. I oni rewidowali przecież wszystkich, jakoś babci nie zauważyli. I babcia z tymi obrączkami szła i tak, było to widoczne, że podbiegł taki Rusek do nas. Już wiemy, o co chodzi. Leci tutaj do babci ręki, a my z mamą, jakbyśmy się umówiły, „Won”, ale takim głosem krzyknęłyśmy strasznie, że mnie aż gardło zabolęło. Wie Pan, taki człowiek w tych nerwach, a „Won” to słowo takie raczej ruskie, a nie polskie. I on się tak zatrzymał i odbiegł. I dał święty spokój. A my: „Babciu, chowaj teraz te swoje obrączki, bo drugi raz już się nie uda”. Tak żeśmy przyjechały. Ale, proszę Pana, jak jechałam pociągiem, jak patrzyłam, że słońce świeci, to mi się dziwnie zdawało. Co to, słońce świeci? Jest jasno na świecie? A wojna? A w Warszawie ciemno było ciągle. Także wie Pan, to było takie, wie Pan, dosyć dziwne. Potem patrzę jeszcze, jedzie jakiś chłopak na rowerze. I taki bukiet kwiatów wiezie. Czy zwariował, czy co? Wojna, a on z bukietem kwiatów. Ludzie nie mają zmartwienia żadnego. Co się dzieje? Po prostu inny świat jakiś jest za oknami. Wie Pan, to było coś, takie przeżycie wstrząsające. Dojechaliśmy do tego Pruszkowa. Ja widzę, że oni segregują osoby stare osobno, młodsze osobno, to ja myk do tych starych, bo nie mam ochoty jechać tam gdzieś na jakieś roboty. Patrzę, a już babcię tam, babcię już tam ktoś posadził na cegiełkach i babcia rozmawia z jakąś wolontariuszką. I pyta, czy ta wolontariuszka zna doktora Maja, bo to jest jej syn, to pewno będzie chciał jej pomóc. A ona mówi: „Proszę pani, mam całą listę od doktora Maja rodziny. Tylko nikogo nie ma”. „Bo właśnie dzisiaj Stare Miasto przyjechało”. Wobec tego ona wtedy pomogła. Babcię i wujka starego wzięła od razu.

### **Artur Kłus: Babcia Ludwika Maj i wuj Jan Maj.**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Tak. To babcia i wujka od razu zabrala i do Komorowa wyszła. A mnie i moją mamę na oddział chorych. To nie był oddział chorych, tam nie było chorych. Tam byli ludzie umierający, którym nikt nawet wody nie podawał. Leżeli na takich brudnych matach, jakichś słomianych, zarobaczone to wszystko było, aż się trzęsło. Straszne. Ja chwyciłam jakąś cegłę i deseczkę. I usiadłyśmy z mamą tak tyłem do siebie, żeby się niczego nie dotknąć, żeby nas to robactwo nie oblażyło, bo to straszne. Na liście umieściła nas ta pani, taka wolontariuszka, że będziemy mogły opuścić ten obóz, bo strasznie dużo było tych ludzi, oni już nie mieli miejsca. Ale okazało się, że ktoś ważniejszy przechodził, wobec tego trzeba było nas skreślić z tej listy na następną. A myśmy nie wiedziały i poszłyśmy z tą pierwszą. Trzeba było wracać. Błagałam wtedy tą panią, żeby szła z nami, bo przecież patrzę, a tutaj cały idzie tłum zakonników. Aż brązowo było. Ja nie wiedziałam, że tylu zakonników było w Warszawie. Aż brązowo. Szedł taki tłum, oni prowadzili gdzieś tych ludzi. Strasznie dużo. Więc musiałyśmy jeden dzień przeczekać i na następnym dniu dopiero nas wyprowadzili na dworzec. Tam był dworzec i pojechaliśmy do Komorowa.

## **Artur Kłus: Jak długo byliście w Pruszkowie?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Parę dni. I pojechaliśmy do Komorowa do wuja, ale wuj nas nie mógł trzymać, bo nie miał jak. Gdzieś tam wynalazł jakąś chałupę. I do jakiejś chałupy, do jakiegoś Ukraińca nas tam zaprowadził. Ale ten gość od razu powiedział, że tu się nie grzeje, nie pali, że nie będzie można nic robić. I nie wiem. A tutaj Niemcy zaczęli szukać Powstańców, wobec tego dali mi trzydzieści parę dzieci, żebym je zawiozła do Częstochowy i do Krakowa. Więc pojechaliśmy do Częstochowy z tymi dziećmi. Siostry od razu zabrały te wszystkie dzieci, kąpały je, myły, poubierały inaczej, a myśmy skorzystały z tego momentu i poszły na Jasną Górę do kościoła. Poszłam do spowiedzi, żeby podziękować Panu Bogu za to, że nas ocalił. A tymczasem ksiądz cały czas tylko pyta i pyta, i pyta, ale cały czas pytania dotyczą Powstania. I w pewnym momencie on stuka. Ja wychodzę i zgłupiałam, nie wiem, co to było, spowiedź czy rozmowa, co to w ogóle było. Mama podchodzi do mnie i mówi: „Co, nie masz rozgrzeszenia?”. „Nie no, ja w ogóle nie wiem, co to było”. „To nie zawracaj sobie głowy, idź do kościoła, a jedziemy zaraz do Krakowa”. Pojechaliśmy do Krakowa z resztą dzieci, część dzieci zostawiłyśmy tutaj. Na Augustiańskiej znowu czekali na nas tutaj w Krakowie. Zabrali nam te dzieci, a ja czym prędzej poszłam do kościoła do spowiedzi, bo uważałam, że to nie była spowiedź, tylko jakaś rozmowa z księdzem. Ja się nie dziwię, że on się chciał dowiedzieć czegoś, ale to dla mnie było przeżycie ogromne. I stamtąd, z tej Augustianki, pojechaliśmy z mamą do Słomnik, bo w Słomnikach pod Krakowem mieszkała mamy siostra razem z mężem, z adwokatem, wuj tam pracował jako adwokat. Więc tam zamieszkaliśmy i z babcią. A ja prowadziłam listę poszukiwań. I z tą młodzieżą tam miejscową założyłyśmy taką izbę zatrzymań dla tych Powstańców, bo dużo ludzi z Powstania zatrzymywało się w Słomnikach i trzeba było jakoś udzielić im pomocy. Więc ludzie tam przynosili sienniki, łóżka, pościeli trochę. Tam tymi ludźmi opiekowaliśmy się. A między innymi taka była pani z Warszawy w szoku strasznym. Co chwilę gdzieś uciekała, coś szukała, goniła. Po prostu dostała zupełnego zamętu i chłopcy wsadzili ją do worka, żeby nam nie uciekała. Wezwaliśmy pogotowie i ona została zabrana na oddział psychiatryczny. Bo ta osoba wymagała leczenia, ale nie byliśmy w stanie jej upilnować, bo ona co chwilę gdzieś goniła, coś okropnego. Jeszcze by sobie coś, krzywdę jakąś zrobiła. A ja, jak tylko Sowietci weszli, to skorzystałam z tego i pojechałam tak „na machanego” sowieckim wozem do Krakowa, żeby też jakąś pracę złapać. Poszłam do szpitala, spytałam, czy mogę pracować jako pielęgniarka. A akurat dyrektorem został profesor Kostrzewski. Mówi: „Na gruźlicę mogę panią dać, innych prac nie mam”. I to nie na Kopernika, tylko na Lubicz w takiej willi profesora, nie wiem, Szafera?

## **Artur Kłus: Szafera.**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Szafera chyba. Tam Niemcy zrobili szpital dla wenerycznie chorych. Ponieważ Niemcy to opuścili, więc szpital zostawili, wobec tego tam dali gruźlików. Mnie też tam dali. Ale śmiesznie było, bo taka przełożona mówi: „Ty jeszcze nie jesteś na liście, jedzenie ci się nie należy”. To ja poszłam do takiego sklepiku, kupiłam suszone jakieś jarzynki, grysik i gotowałam taki grysik z jarzynkami. Jak się mój kolega z Warszawy dowiedział, to poszedł do profesora, ja nawet nie wiedziałam, i mówi: „Czy w Krakowie nie ma zwyczaju opieki nad personelem, tylko nad pacjentami?”. „Jak to?”. „No tak to, Zawistowska nie jest na liście wcale zapisana”. To profesor tam zrobił ruch i umieścili mnie na liście nareszcie. Mogłam coś zjeść. [śmiech]

### **Artur Kłus: Bo w tym szpitalu to zwożono też osoby z Oświęcimia?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Nie, potem tych pacjentów gruźliczych zabrali gdzieś do Narutowicza czy za Narutowiczem jeszcze gdzieś tam. A tutaj zlikwidowali w ogóle ten szpital. A w międzyczasie już zdążyli barak na Kopernika uruchomić, bo on był tam zniszczony. Podczas działań tych wojennych, w Krakowie takich działań wielkich nie było, ale akurat właśnie na Kopernika coś tam było zniszczone. Mnie tam umieścili w tym szpitalu. Ja tam miałam pacjentki takie właśnie z Oświęcimia.

### **Artur Kłus: Co opowiadały? Pani pamięta może?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Co one opowiadały, one nie miały siły nic mówić. To były ciężkie stany, to były umierające osoby. Coś strasznego to było. A na męskim oddziale byli chłopcy od Berlinga. Znowu to tacy byli, co to biegali do ogrodu botanicznego, kwiatki zrywali, potem nam przynosili. [śmiech] Wygłupiali się, jak mogli, ale jak ja spytałam profesora, dlaczego profesor ich tak trzyma, przecież naprawdę nie potrzeba ich tak trzymać. A on mówi: „Tyle młodzieży zginęło, to chce pani, żeby jeszcze i oni zginęli? Już lepiej niech sobie tutaj posiedzą”. I tak każdy miał już swoje racje.

### **Artur Kłus: I tak Pani została w Krakowie?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** I tak zostałam już w Krakowie. Najpierw tak właśnie pracowałam na tym oddziale, potem znowu przenieśli mnie na oddział dziecięcy, miałam znowu koklusze, jakieś takie różne dziecinne choroby, a potem znowu dali mnie do tych pacjentek z Oświęcimia. Ja się wtedy zaraziłam dudem brzuszny. Bardzo ciężko chorowałam. Śniło mi się, że profesor mnie wzywa, że mam iść do profesora. I chcę iść. I przechodzę koło takiego wieszaka, na którym wisi profesora melonik i szalik biały. I ten szalik biały mi się wkręca w szyję, a melonik mi spada na głowę. Matko, przecież nie pójdę w takim, tak do profesora. Uciekam. Okazuje się, że kółko gumowe wlaźło mi na głowę, a ten podkład zakręcił mi się wkoło szyi. Ja uciekałam, ale barak był na parterze, wobec tego uciekałam na ulicę, znaczy tę ulicę tam na Kopernika. I dopiero mnie tam ktoś złapał, bo ja w tej gorączce nie wiedziałam, co robię. To już mnie zamknęli wtedy do łóżka takiego z siatką. Chłopcy jak się dowiedzieli, że ja jestem chora i że leżę jeszcze w łóżku do tego, taka zamknięta, to mi któryś z chłopaków dał obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, którą dostał od mamy, i powiesił mi tam na tym łóżku i tak miałam. Bardzo ciężko chorowałam, byłam nieprzytomna. Mama moja się martwiła i pytała profesora, co zrobić, może jednak jakieś lekarstwa z Francji może sprowadzić, bo ma brata, który jest we Francji, ma drugiego brata w Warszawie. Więc może jednak coś by mogli pomóc. A profesor mówi: „Nic nie pomoże, tylko modlitwa”. To mama zamówiła mszę świętą u dominikanów. I na tę mszę świętą przyszli wszyscy chłopcy z tego męskiego oddziału, bo ja tam wizyty też miałam po południu. A oni jeszcze swoich kolegów ze swojej placówki zamówili. I mama mówi, że jak weszła do kościoła, to aż zielono było od wojska. Całe wojsko przyszło modlić się za pielęgniarkę.

### **Artur Kłus: Ale wymodlili.**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Wymodlili, wymodlili, tak.

**Artur Kłus: I tu później Pani została pediatrą, założyła rodzinę.**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Mało z tym, proszę Pana. Jeszcze jak wyszłam z tej choroby, to dowiedziałam się, że ruszył uniwersytet. Wobec tego zapisałam się na uniwersytet. Ale zapisałam się na drugi rok, bo miałam pierwszy rok zdany, a drugi tylko wysłuchany u Zaorskiego. Więc myślę sobie, tutaj nie znam nikogo i nie wiem, jak to będzie i czy ja co pamiętam. Więc się zapisałam na drugi rok, z tym że nie będę chodzić, bo ja pracowałam jako pielęgniarka. Więc w dzień pracowałam jako pielęgniarka, a w nocy siedziałam, ponieważ wtedy nie było takich osobnych oddziałów analitycznych jak teraz, tylko każdy oddział miał swój mikroskop i tam swoje badania robił krwi i moczu, to ja siedziałam i histologię uważałam, że mogę zdać doskonale, prawda, bo mam mikroskop i materiały na to. I w nocy uczyłam się na medycynę. Jak poszłam na egzamin, to profesor Akerman mówi tak: „Ale czy pani nie ma gorączki?”. Ja mówię: „Nie wiem, nie mierzyłam”. „No to jak pani wróci po egzaminie, to proszę zmierzyć sobie temperaturę i położyć się do łóżka. I dzisiaj już nie chodzić. Skorzystać z tego, że ma pani zwolnienie na egzamin”. Rzeczywiście zdałam tę histologię, wróciłam do domu i jak się położyłam, to się nie obudziłam. Dopiero obudził mnie profesor i pyta: „Czy robiła pani rentgen?”, bo on o tej gruźlicy pamiętał. Ja mówię: „Tak, leży tu wynik”, taki piecyk był, na tym piecyku. Popatrzył, mówi: „A, dobrze, nie ma nic. No to już ważne”. I tak mnie zostawił. Także miałam takie przygody, ale Pan Bóg się jakoś mną opiekował.

**Artur Kłus: Zdała Pani, została pediatrą. Tu założyła rodzinę. Tu z Panią też była mama, tak?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Proszę Pana, najpierw pojechałam jeszcze do Rabszyna, to jest teraz Jarosław. Tam jest oddział taki rehabilitacyjny. I szpital nawet, zdaje się, teraz tam założyli. A tam pracowałam przez niecałe 2 lata. Ale wracałam, bo musiałam egzaminy zdawać. A potem dostałam nakaz pracy na Śląsk. I wtedy już znałam mojego męża. I on mówi tak: „Słuchaj, tylko staraj się, żeby to nie była jakaś dziura, tylko niech to będzie miasto, bo tam huty nie będzie”. Więc musiałam. Dostałam Bytom. Wysłali mnie do Bytomia. W Bytomiu na oddział zakaźny, więc tam pracowałam na oddziale zakaźnym w Bytomiu. Ale muszę powiedzieć, a w szpitalu na oddziale zakaźnym, a oprócz tego wzięłam jeszcze przychodnię dla dorosłych wtedy. Muszę powiedzieć, że byłam zbudowana. Na Śląsku ludzie bardzo byli tacy zdyscyplinowani, grzeczni, szanowali lekarza. Zupełnie inna praca była z tymi ludźmi niż na przykład tu w Krakowie. Tu w Krakowie ciężko się pracowało z ludźmi, a tam naprawdę ludzie byli bardzo tacy zdyscyplinowani i grzeczni. Także to się tak odczuwa, prawda? Jakiś taki ten kontakt. I że tak szanowali człowieka. Nie podchodzili z taką pogardą, z jaką się tutaj ja spotykałam nieraz.

**Artur Kłus: A pamięta Pani może przyjazd do Warszawy po wojnie? Jaka ta Warszawa była?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Proszę Pana, ja nie pamiętam, żeby po wojnie pojechała do Warszawy.

**Artur Kłus: Bo z tych zdjęć, co Pani pokazywała, tam w 1947 Pani, tak?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Dopiero po Powstaniu byłam w Warszawie, bo tak to nie nie byłam.

**Artur Kłus:** Właściwie ja bym tylko dopytał, bo Pani poznała męża, mąż jak miał na imię?

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Jerzy.

**Artur Kłus:** Mąż Jerzy i dzieci?

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Małgorzata, Jan i Agnieszka.

**Artur Kłus:** I tu z Panią też przyjechała, znaczy mieszkała z Panią mama, tak?

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Mama, tak. No matka po Powstaniu. Matka po Powstaniu.

**Artur Kłus:** Jeszcze się zapytam, czy może jak była Pani w szkole pielęgniarek, z Panią Ewą Matuszewską może Pani miała kontakt?

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Nie pamiętam.

**Artur Kłus:** Dobrze. Jeszcze ja mam pytanie. Gdzie tata zginął? Bo Pani powiedziała, że brat przekazał informację, że tata zginął w kampanii wrześniowej.

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Pod Buskiem.

**Artur Kłus:** Pod Buskiem-Zdrojem? Pod Buskiem w świętokrzyskim? Województwo świętokrzyskie?

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** A ja nie wiem, jakie to jest.

**Artur Kłus:** Koło Kielc, Busko-Zdrój. Tak? O to Busko chodzi?

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Nie pamiętam.

**Artur Kłus:** Tam jest grób ojca?

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Nie ma, proszę Pana. Ojciec zginął i został pochowany na polu. Ten Jurek, który przecież był w tym oddziale, zgłosił się do tego przewodniczącego tego miasteczka Buska, żeby go pochować, a ten powiedział, że jak się zgodzi ksiądz albo prawosławny pop, to proszę bardzo. Ale ani jeden, ani drugi nie chciał się zgodzić, bo się bali wtedy Niemcy i bolszewicy jeszcze działali. Bo to był wrzesień, na początku, 20 września.

To jeszcze było to zamieszanie takie. I w końcu on tylko tyle zrobił, że przełożył ojca na polu między... na tę, jak to się nazywa? Na miedzę. Taki obrazek jest tam, jak Jurek, krzyżyk taki maleńki, Jurek był na tym. Jeszcze w ,43 roku Jurek pojechał właśnie i jeszcze wtedy tam rozmawiał z tymi ludźmi, ale też się nie dało przenieść, bo z kolei Sowieci zrobili tam jakieś też, jakieś wojskowe coś na tych polach. Także nie było mowy, żeby przenieść grób. I tak się złożyło. I tak ojciec powiedział, zostanie pochowany na polu i nikt nad nim płakać nie będzie. Tak powiedział, jak się żegnał. Jak się z nami żegnał, to mówił: „Żal mi, że Hanki wnuków nie zobaczę”. „Jak to wnuków?”, mama mówi. A on mówi: „Tak, wnuków. I nikt za mną płakać nie będzie”. No i proszę. I wnuki, ja tylko mam wnuki. Nie mam wnuczek, tylko wnuki.

### **Artur Kłus: Ile ma pani wnuków?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Trzech. Trzech wnuków. Tam na poduszce są.

### **Artur Kłus: Ja się dopytam, bo ma Pani dzisiaj, jak rozmawiamy, ponad 101 lat. Jak będą oglądać taki materiał młodzi ludzie, czy jest coś, co Pani by chciała powiedzieć takim młodym ludziom o takiej historii?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Wie Pan, ja myślę, że trzeba jednak wierzyć i kochać ojczyznę. I wierzyć w to, że Pan Bóg nam pomoże. I że ta Polska będzie kiedyś naprawdę samodzielna. Bo tak już tyle lat mamy, że co chwilę są jakieś wstrząsy i nasi sąsiedzi chcą się nami dzielić. Ale najgorsze to jest to, że my się sami dzielimy. A to bardzo ważne, żebyśmy się nie dzielili. Obojętne, jak kto myśli, bo myślę, że każdy trochę inaczej wierzy. Wiara nie jest taka łatwa i trzeba zrozumieć, że jednemu jest łatwiej, drugiemu trudniej pojąć pewne rzeczy. Ale trzeba szanować cudze myśli i cudze zachowanie. Bo to się nie da, nie można każdego według siebie. Tak mi się wydaje.

### **Artur Kłus: Bardzo dziękujemy. Czy coś chciała Pani może dodać, coś się przypomniało? Czy możemy podziękować?**

**Hanna Zawistowska-Nowińska:** Dziękuję bardzo. Bardzo dziękuję. Ja jestem przecież takl sobie zwykły człowiek, nic takiego nie robiłam w życiu. Raczej mnie życie naprawdę, przy tym wszystkim pieściło. Przy tych wszystkich trudnych sprawach zawsze jakoś wychodziłam cało i myślę, że za to muszę Bogu dziękować.